

# Home sweet home...

*Czasami miewam dzikie myśli*

...wcale nie w Alabamie. Mieszkam teraz w bardzo starym domu w samym środku miasta. Jego obecna, murowana wersja ma grubo ponad sto lat, stoi parterowy i dostojnie rozkraczony w samym środku miasta, w otoczeniu bardziej typowych dla miejskiego pejzażu piętrowych kamienic i podobno - bardzo modnych nowoczesnych plomb. Mój dom jeśli wierzyć gazetom „branżowym” - modny nie jest. Sam środek miasta, nawet niezbyt wielkiego, nawet na tzw. starówce oznacza ruch, gwar, ciekawskich przechodniów zaglądających w okna i sąsiedztwo jak z opowiadań maski. Gdzie mu tam do fantastycznych kształtów willi w prestiżowych dzielnicach czy do pilnie strzeżonych rezydencji na przedmieściach (które teraz w prasie fachowej nie wiedzieć czemu nazywają się suburbia). Jest za to wypełniony życiem, Czasem, historią „małą” (tą dotyczącą codziennego życia) i „wielką” (tą z kart podręczników), ma swoją pamięć i swój własny (tajemniczy jeszcze dla nas) ekosystem: pająki, trzpienniki, myszy, synogarlice i sama jeszcze nie wiem, co się tu mieści. I oczywiście nocne trzaski, jęki, westchnienia. I coś zupełnie nieokreślonego, co poczułam, jak tylko weszłam tu po raz pierwszy: że to dobre miejsce, wypełnione jeszcze przeszłymi miłościami, nadziejami, rozczarowaniami, uczuciami - ten dom w takim stopniu wpływa na nas, jak my na niego. Jest partnerem i pełnoprawnym członkiem rodziny. Wiemy, że nie zgodziłyby się (szczęśliwie my też) na zmianę starych, popękanych drzwi ani na zastąpienie pięknych, nierównych i mocno nadgryzionych czasem kamiennych płyt w korytarzu. To ten dom sam podpowiada nam, czego mu brakuje i co w nim można zmienić. Pozostaje tylko wsłuchać się w jego nocne westchnienia. Czasem czujemy jego opiekę: grube, 60-cio centymetrowe mury z piaskowca chronią najskuteczniej w świecie przed hałasem (czyżby pradziadek z dużej, oprawionej w ramki fotografii podejrzewał, w jakim świecie przyjdzie nam żyć?), brak idealnych kątów prostych każe być uważnym i nieschematycznym, kot ma tu swoje ulubione zakamarki.

Powszechnie uważamy, że miasto jako takie jest wytworem cywilizacji industrialnej, XIX-wiecznej wersji przemysłowego niewolnictwa i biedy. Z pewnością jest w tym prawda (przynajmniej w odniesieniu do miasta takiego, jakie znamy dziś), ale nie cała. Wyobraźnia podsunęła mi obraz miasta średniowiecznego, takiego, o jakim uczono nas w szkole - że było brudne, a ludzie żyli tam w nędzy i cierpieli rozliczne choroby z braku higieny. Że nie było kanalizacji, a ludzkie i zwierzęce odchody wylewano wprost na ulice. Nie było za to butelek PET i freonu. Być może była to po prostu inna koncepcja życia, w którym nie oddzielano tak mocno ciała człowieka od tego, co ono w procesie przemiany materii wytwarzało. Właściwie dlaczego muszą to być rzeczy wstydlive, jakimi stały się dzisiaj? Być może taka koncepcja życia nie traktuje choroby jako zaburzenia, którego należy się za wszelką cenę pozbyć, ale jako naturalny i integralny element tegoż właśnie życia. Wąskie uliczki starych średniowiecznych miast świadczą być może o większej wspólnotce ludzkiej niż dzisiejsze „rezydencje” dla bogatych i blokowiska dla biednych. Czy aby na pewno mamy prawo gardzić średniowiecznym miastem? Czy i dzisiaj nie umierają ludzie tylko dlatego, że nie stać ich na szpital, lekarza, medykamenty? Oprócz środków na te wszystkie rzeczy zostali pozbawieni czegoś o wiele ważniejszego: prawa do własnego ciała i wiedzy o nim. Medykalizacja ciała ludzkiego przyniosła nam z jednej strony ulgę w cierpieniach, z drugiej jednak stało się tak, że ktoś inny (lekarz) wie o naszym ciele więcej niż my sami. Pozbawiliśmy się możliwości wyleczenia się choćby z prostego przeziębienia: dzisiaj najczęściej wydaje nam się, że nie mamy prawa leczyć się sami i/bo nie potrafimy. Może dlatego, że nie potrafimy już słuchać swojego ciała, boimy się jego odruchów, a naturalne przecież jego funkcje często budzą w nas obrzydzenie albo wstyd. Bywa też odmiana wynaturzona: słuchanie własnego ciała wpędza nas w hipochondrię. Ale to temat na inną opowieść.

Jak daleko jest od ciała do domu i do lasu? Pewnie bliżej niż mogłoby się wydawać. Jeżeli jednak nie umiemy słuchać swojego ciała, nie umiemy też słuchać ani domu, ani lasu. Jeśli nie umiemy słuchać lasu, nie umiemy też słuchać samych siebie. Na dobrą sprawę ciało, dom i las jest tym samym. Dlatego nie jest ważne, czy dom jest stary czy nowy, na wsi czy w mieście. Ważne jest czy umiemy słuchać i czy coś słyszymy.

**Anna Nacher**